

K.to?

DARIUSZ KOSIŃSKI

Zamiast oklasków po tym spektaklu zdecydowanie wolałbym ciszę. Albo natychmiastowe przejście do punkowego koncertu. Albo surową wieprzową wątrobę rzuconą pod nogi widzów.

BRAWA JESZCZE TRWAJĄ, KIEDY OTWIERAM drzwi na korytarz. Na górnym foyer już przed rozpoczęciem przedstawienia stały stoły z kieliszkami. Teraz obok nich kuszą talerze z tartinkami i ptifurkami. Zanim premierowa publiczność opuści salę, wychodzę, starając się nikogo nie spotkać. Dawno już tak mocno, fizycznie nie czułem obłudy teatru.

K...a!

Od wielu już lat zapowiedzi kolejnych przedstawień Moniki Strzępki (reżyseria) i Pawła Demirskiego (tekst, dramaturgia) wywołują poruszenie i pełne ciekawości oczekiwanie. Znakomita seria w Narodowym Starym Teatrze w Krakowie („Bitwa warszawska 1920”, „nie-boska komedia. WSZYSTKO POWIEM BOGU!”), „Tryumf woli”) i telewizyjny serial „Artyści” uczyniły z „najbardziej radykalnego duetu polskiego teatru” niemal jego Midasów – wszystko, czego się dotykają, zamienia się w sukces. Gdy więc pojawiły się informacje, że zamierzają w Teatrze Polskim w Poznaniu zrealizować przedstawienie o Jarosławie Kaczyńskim, teatralnej Polsce pociekła ślinka i zaczęło się ostrzenie apetytów.

Przedpremierowe zapowiedzi były oszczędne, ale pojawiały się wśród nich sugestie, że to będzie takie dzisiejsze teatralne „Polskie zoo” (czy ktoś jeszcze pamięta tę satyrę na polskie życie polityczne, w której – aż nie sposób uwierzyć! – Marcin Wolski kpił także z braci Kaczyńskich – chomików i Antoniego Macierewicza – psa gończego?). Demirski nie od dziś znany jest z umiejętności pisania niezwykle zabawnych dialogów, a zrealizowany kilka lat temu we współpracy Łaźni Nowej i teatru IMKA „serial teatralny” – „Kłątwa” (tak, tak) – dowodnie pokazał, jak cięta, a zarazem nieodparcie i bezwzględnie śmieszna może być polityczna satyra

w wykonaniu tego duetu. Może się mylę, ale miałem wrażenie, że premierowa publiczność oczekiwała właśnie czegoś takiego. I dostała. Ale tylko na początku. Potem śmiech rozlegał się coraz rzadziej, a jeśli już, to wydawał się nerwowy i niepewny.

Przedstawienie rozpoczyna opuszczenie kurtyny. Scena z pokojem Prezesa i wielkim telebimem, na którym wyświetlony jest napis „Październik 2019. Dzień wyborów parlamentarnych”, znika. Po chwili słychać, że ktoś się tłucze na korytarzu i od strony widowni wchodzi na proscenium Jakub Papuga, który w brawurowo groteskowym monologu wydaje się parodiować wiadomego Prezesa. Wydaje się błędnie, bo gdy kurtyna idzie w górę, okazuje się, że postać, którą gra, to nie Jarosław Kaczyński, ale przywódca Partii Clownów – ugrupowania zdobywającego popularność dzięki beczelnemu i wulgarnemu wyszydzaniu i negowaniu reguł „gry politycznej”.

Dzięki nieustannej, głównie internetowej „szyderze” Partia Clownów ma w wyborach 2019 szanse na spektakularny sukces na poziomie kilkunastu procent głosów. Jest wieczór dnia wyborczego. Wszyscy czekają na wyniki. Czekają przywódca rządzących, K. (Marcin Czarnik), któremu towarzyszy widmo Matki Prezesów (Barbara Krasieńska) i duet oddanych zakapiorów (Człowiek od Prezesów – Wojciech Kalwat i Jastrząb Prezesów – Piotr Kaźmierczak). Czekają jak zawsze eleganci lider opozycji Donald (Jacek Poniedziałek) z powracającym ku niemu z nadzieją Duchem Unii Wolności (Joanna Drożdża). Zaczyna się znane nam już dobrze telewizyjne odliczanie. Ale wyników *exit poll* jeszcze nie poznamy, bo w ostatniej chwili zdenerwowany Na Sprzedaż (Andrzej Szubski) informuje, że to niemożliwe z powodu tajemniczej awarii narodowego systemu obliczeniowego.

Wyniki pojawiają się później, nawet dwukrotnie, ale choć to wokół nich toczy się rwana akcja, nie one są tu ważne. Związana z ich zmianami odmienność sytuacji i układów sił służy jako szkielet dla rozegrania wielkiego (i może aż za często realizowanego dosłownie) ryku obrzydzenia i krańcowego zmęczenia ludźmi, którzy – jak to się co chwila powtarza – urządzili nam świat, zorganizowali wyobraźnię, wleźli w mózgi swoimi słowami i czynami. Kolejne zwroty akcji, kolejne retrospekcje (inscenizowana jest też szydercza galopada przez dzieje III RP) prowadzą do jednego wielkiego „k...!”, w którym zawiera się cała wściekłość i bezradność, jaka od lat nam towarzyszy. Ucieleśniają ją dwie postaci kobiece: Powiatowa (Barbara Pro-

kopowicz) i Anonymous (Monika Roszko). Pierwsza wędruje z wielkim plecakiem od lidera do lidera, każdemu mówiąc „kilka słów nożem” w ślepym proteście zawsze wykluczonych. Druga – „dziecko wolności”, urodzone w III RP – usiłuje na nieodłącznym laptopie znaleźć błąd, wirus, który jest winien, że żyjemy w takiej, a nie innej rzeczywistości. Obie są równie aktywne, co bezradne, tak samo jak my i jak twórcy poznańskiego przedstawienia.

Daremnie oczekiwać, że zaangażowani artyści przedstawiają nam coś, czego nie wiemy, wskażą drogi wyjścia, obwieszczają rozwiązania. Od początku do końca ze sceny słychać jedno wielkie wściekłe i jednocześnie rozpaczliwe „k...!”, tyle że wykrzywane tak, jak sami chyba nie potrafimy – bez litości, bez względu i bez nadziei.

K.aczyński

W „K.” obrywa się wszystkim. Donaldowi za lenistwo i niechęć do wzięcia odpowiedzialności. Unii Wolności i jej środowisku za bezlitośnie wykpięne inteligenckie fantazje. Sprzedajnym funkcjonariuszom Prezesa za oportunizm i brutalne dążenie do utrzymania władzy, odarte z wszelkich ozdobników, ukazane najdobitniej w autodemaskatorskim monologu Na Sprzedaż, zakończonym żarłocznym pochłanianiem surowej wątroby wieprzowej. Clownom za głupotę pustki. Przedstawicielkom społeczeństwa za ślepotę i bezradność. Nikomu nie jest oszczędzona prawda między oczy.

Na tym tle tytułowy bohater ukazuje się jako postać najbardziej złożona. Pozostali to wydrażeni ludzie, co najwyżej maskujący swoją pustkę zgrabnie dobieranymi słowami. K. ma za sobą skomplikowaną i dramatyczną historię rozgrywaną w relacjach z matką i w delikatnie, jak na Demirskiego, zarysowanych sekwencjach potknięć o nieobecność brata. W niczym go to nie usprawiedliwia i przed niczym nie ratuje (w przedstawieniu jasno mówi się o zbieraniu haków, serii politycznych wolt, braku idei i nadmiarze kompleksów), ale jesteśmy tu daleko i od lekkości „Polskiego zoo”, i od nienawistnych żartów z „Kaczora dyktatora”, i od ciepłej zwyczajności „Ucha prezesa”.

Marcin Czarnik ani fizycznie nie przypomina, ani w grze w żaden sposób nie naśladuje Jarosława Kaczyńskiego. Że takie parodystyczne naśladowanie wcale nie byłoby trudne, pokazał na początku, ku uciesze publiczności, Jakub Papuga. Demirski i Strzępka nie wydają się nim zainteresowani. Ich przedstawienie to raczej próba poznania człowieka, który rządzi Polską i Polakami nie tylko dlatego, że jest twórcą



MAGDA HUECKEL / TEATR POLSKI W POZNANIU

Spektakl „K.” Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego, Teatr Polski w Poznaniu, listopad 2017 r.

i liderem partii sprawującej władzę, ale dlatego, że wyznacza linie konfliktów, wzdłuż których układamy swoje życie zbiorowe, że – inaczej mówiąc – jest dramaturgiem naszej społecznej rzeczywistości.

Rozgrywając jego motywacje, odróżniając je od brutalnie prostych pragnień i potrzeb kierujących działaniami jego otoczenia, twórcy „K.” zdają się szukać w tytułowym bohaterze jakiejś głębi, jakiegoś – bo ja wiem – szekspirowskiego rozmachu, który nawet takiego zbrodniarza i tyrana jak Ryszard III czyni fascynującą tajemnicą, niedającą się po prostu przekreślić i zbyć jednoznacznym osądem. Szukają, ale nie znajdują. K. ma nieprostą biografię i pogmatwaną psychikę, ale szekspirowskiej wielkości mu brak. Skrót jego nazwiska wskazuje raczej na inną literacką kolicację – z Kafkowskim bohaterem bez właściwości, zaplątanym w historię, której nie rozumie i której staje się ofiarą.

Jedna z najmocniejszych i najlepszych scen przedstawienia to sekwencja obalenia przegranego przywódcy przez Jastrzębia Prezesa, który chce go zamordować, by następnie oskarżyć o tę śmierć przeciwników politycznych i wprowadzić brutalną dyktaturę. Bezsilny i sponiewierany K. płaci cenę za obudzenie i wzmocnienie demonów, które i dla niego okazują się zabójcze. Ale zarazem jest ofiarą sił i procesów, których zdaje się cały czas nie pojmować. Nawet w tej chwili nie jest mu dana, tak

typowa dla obalanych szekspirowskich władców, chwila oślepiąco jasnego zrozumienia Mechanizmu Historii.

W całej tej sekwencji K. pozostaje steroryzowany i bierny, a gdy teatralna machina w ostatniej chwili zmienia jego los, nie pojawi się w nim nawet najmniejszy cień refleksji. Powie tylko Jastrzębiowi: „Czuję się zwolniony”, i wróci do tych samych gier i strategii, które zdają się skrojone na rozmiar jego pokoju – przestrzeni, której mentalnie nigdy nie zdołał opuścić.

Każdy

W komentarzach do „Procesu” często mówi się, że K. to *everyman*, a jego los to potencjalnie los każdego poddanego totalitarnej władzy lub (w interpretacjach filozoficznych) każdego człowieka od zawsze żyjącego „pod sądem”. Ten rys ma także bohater Demirskiego i Strzępki, tyle że jego „everymańskość” ma inne znaczenie. Ujawnia je wprost w ostatnim monologu, mówiąc, że jego siła i skuteczność wynikają z tego, iż jest taki sam jak my wszyscy. Tak jak w nas, nie ma w nim żadnej szekspirowskiej tajemnicy, a wiązki resentymentów, kompleksów, problemów z sobą i światem, fantazmatycznych pragnień rządzą tak samo jego postępowaniem jak naszym.

Jest w tym rozpoznaniu echo popularnego w niektórych kręgach przekonania, że państwo PiS stanowi odbicie tego, jak Polska wygląda, myśli i działa naprawdę. Ale

u Strzępki i Demirskiego nie ma właściwego tej narracji poczucia wyższości i niechęci do „ciemnego ludu”. K. nie mówi, że jest jak „lud” czy „suweren”. K. mówi, że jest jak każdy. Także każdy z nas, siedzących na widowni poznańskiego teatru i słuchających go.

Zaraz po tym monologu Jakub Papuga, już bez maski clowna, wykrzykuje do mikrofonu pytanie, czy jest ktoś jeszcze inny. Kurtyna spada, odcinając leżącą w pościeli na proscenium, zbrzydzoną tym wszystkim Anonymous, która chwilę wcześniej po raz kolejny, tym razem już jak najbardziej wprost, wyrzuciła z siebie niezrozumienie i niechęć do ludzi zapelniających scenę. Czyżby udało jej się znaleźć poza nią, wreszcie odciąć się od nich? Nic z tego – już przy opuszczonej kurtynie ktoś gwałtownie wciąga ją za teatralną zasłonę. Nikt się nie uwolni.

Zapalają się światła na widowni. Premiera publiczność klaszcze. Ale oklaski nie wydają się tak gorące jak wtedy, gdy publiczność zostaje porwana siłą przedstawienia, albo okazując entuzjazm odgrywa swoją wyższość (tak w moich uszach brzmiały brawa na „Kłatwie” w Teatrze Powszechnym). W Teatrze Polskim zdaje się panować konwencja. To ona po podniesieniu kurtyny wnosi na scenę kosz kwiatów i wręcza róże poszczególnym aktorom oraz aktorkom. To ona każe wykonawcom wołać „Monika!”, „Paweł!” i tak dalej. →

↳ To ona każe wywoływanym wyjść na scenę, uklonić się i nawet uśmiechnąć. To ona ustawiła kieliszki i talerze z pti-furkami we foyer. To jej niemal fizycznie nie mogę znieść i przed nią uciekam z teatru, starając się nikogo nie spotkać.

Ja nawet rozumiem potrzebę tych teatralnych zabezpieczeń i tego prawie rytualnego hałasu przeganiającego demony autorefleksji. Wiem, skąd się biorą, jaka ich geneza. Ale właśnie dlatego tym razem szczególnie mi przeszkadzały. Tym razem zamiast oklasków zdecydowanie wolałbym ciszę, albo natychmiastowe przejście do punkowego koncertu. Zamiast tartinek i białych obrusów wolałbym surową wieprzową wątrobę rzuconą pod nogi. Może to dlatego, że do Poznania jechałem przez Jarocin, obudził się we mnie zablizniony duch pierwszej Siekiery?

I nie – nie mam złudzeń, że to cokolwiek by zmieniło. Że teatralny szok zawocowałby jakąś istotną różnicą po nieteatralnej stronie rzeczywistości. Ale przynajmniej nie byłoby tego bolesnego dysonansu, który – tak to odbieram – na bardzo prostym poziomie kompromituje samoświadomość ludzi teatru, tak przeze mnie wychwalaną niedawno na tych samych łamach. Czy naprawdę nie widać, że mówienie serio bardzo nieprzyjemnych rzeczy i potem branie ich w nawias bankieciku i towarzyskich small talków odsłania naszą własną niewiarę w sens tego, co robimy? Że jest wbrew temu, co może w tym przedstawieniu najważniejsze i najcenniejsze – atakowi na dobre samopoczucie, które tak łatwo sobie fundujemy, sprowadzając przeciwników do parteru, a samemu wynosząc się na wysokość toastu? Miły sobotni wieczór w teatrze zwieńczony lampką wina. Wybaczcie – naprawdę nie mogę.

Listopadowe poznańskie ulice zdają się lepiej rozumieć sens przedstawienia, którego nie widziały. K. śpi w restauracji braci McDonalds nad resztkami mięsa mielonego wołowego. Kilku innych pokrzykuje przy nocnym sklepie. Dwoje biegnie na dworzec, by złapać odjeżdżający za moment pociąg Tanych, czyli Twoich Linii K.

Ja, też K., wsiałam w nocny autobus z nadmorskiego miasta K. do K. królewskiego i niegdyś stołecznego. ©

DARIUSZ KOSIŃSKI

Paweł Demirski, K., reż. Monika Strzępka, Teatr Polski w Poznaniu, premiera 4 listopada 2017 r.